

moja matka moja córką



WYDZIAŁ SZTUKI
PWISZ W TARNOWIE



Barbara Kasprzycka-Łosiak.

Rozmawiają: Magdalena Ujma, Agnieszka Bartak-Lisikiewicz

Jak zaczęło się Twoje zainteresowanie sztuką?

Rodzice lubili wieszać realistyczne obrazy, jak w każdym domu, mieliśmy modne reprodukcje z księgarni: „Babie lato” Chełmońskiego, „Zbierające kłosa” Milleta, szkic z kaczeńcami Wyczółkowskiego...

Tato dorabiał popołudniami u stolarza, odkrył swoją smykałkę do drewna... W wolnym czasie zorganizował w piwnicy mini warsztat... I tam zniknął... Zbierał mocno nieregularne konary z drewna, fragmenty przedmiotów, „śmieci, te które coś znaczą”, konstruował lampy z tych elementów, naprawiał, lutował, toczył drewniane wałki, miał imadło i cały osprzęt, by robić coś ze znalezisk lub coś z niczego. Lubiłam go wołać na kolację, bo zawsze coś podpatrzyłam... Wuj Piotr był wielkim miłośnikiem sztuki, z jego kawalerki pamiętam pierwsze reprodukcje: kobiety Axentowicza, „Sza” Podkowińskiego, Leonarda „Madonna w grocie skalnej”, generalnie klasyka! Był też inicjatorem teatru amatorskiego w cukrowni... Pamiętam jego portret jako aktora grającego Wernyhore. Moja ciocia Ela pokazała mi sukienkę dla lalki o wysokości kilkunastu centymetrów, to był tiulowy majstersztyk, jakby aspirantki kostiumologii... Błękitny materiał, nawet perłowe falbany, wrażenie zrobiło na mnie to precyzyjne ręczne wykonanie - jakby miniatury sukni!!!! Wow!!! ... że tak się da???

Czy na decyzję o zostaniu artystką miała wpływ Twoja matka? Czy przekaz rodzinny pomógł Ci w zostaniu artystką?

Mama bezpośrednio nie, jej pragmatyczna ocena artystycznego życia, motywowała mnie raczej do tego, by jej pokazać, że można być normalnym człowiekiem i jednocześnie malować. Uwielbiała dobre wyniki w szkole. Byłam „dość dobrą” uczennicą... Według Mamy, dobrym zawodem byłaby nauczycielka; wtedy mogłabym być „DOŚĆ DOBRA” - Jadwiga Sawicka porusza to w swoich obiektach. W podstawówce Mama aprobowała sukcesy w konkursach plastycznych typu „Biały gołąb na majowe święto”... Ale to nie przeniosło się w przyszłości na wsparcie przy okazji egzaminów do liceum plastycznego, do którego zapragnęłam się dostać. W liceum, gdy zdobyłam stypendium Ministra dla dzieci uzdolnionych, to była dumna, ale sztuka ją bardziej dziwiła niż porywała. W tym czasie Tato był za granicą, ale wsparł mój wybór „plastyka”. Moja decyzja ożywiła w nim stare pragnienia, w latach 60-tych nie pozwolono mu zdawać na architekturę wewnątrz (bo tam same dziewczyny...!), bo generalnie lepiej umieć np. naprawiać telewizory, bo był „boom” na technologię i zawody związane z elektroniką (Wujek Marian na tym dobrze zarabiał!!!).

W liceum szkicowałam modeli z najbliższej rodziny, głównie to była właśnie Mama, Brat i młodsza o dwie-ście lat Siostra. Wszyscy mi pozwolali bardziej z przymusu, dlatego w większości rysowałam ich podczas snu. Z Siostrą dzieliłam pokój, więc ją najczęściej rysowałam, kiedy spała i uczyła się, pozowała też dłużej do pracochłonnych studiów postaci, potem lubiła się oglądać na obrazach. Chwaliła się tym, że jej siostra maluje. Można powiedzieć, że Siostra była moim „pierwszym” dzieckiem, którym opiekowałam się, kiedy Mama była zajęta. Na wakacjach Mama nie musiała brać urlopu, bo byłam ja. Od zawsze z Siostrą mam bardzo głęboki związek. Siostra jest psychologiem, wspieramy się i wszystko o sobie wiemy. Po śmierci Mamy byłam dla niej oparciem. Dziś ona sama jest matką, a ja, jak to kiedyś nazywałyśmy „Ciocio-Babcią”. W 2019 roku, po kilku latach od mojego rozwodu, po wieloletniej miłości, dowiedziałam się od mojej Babci, że kobieta bez mężczyzny - samotna - nie ma żadnej wartości... i musi szukać swojej wartości dalej... Według patriarchalnego porządku i modelu rodziny, które przemawiały przez Babcię, bez mężczyzny, jestem zaburzona! To jednak nadal społeczny kompleks kobiet, choć mnie już nie dotyczy. Generalnie Babcia lubiła, kiedy „młodzi” osiągnęli sukces zawodowy i rodzinny w klasycznym konserwatywnym wydaniu: dobra praca, ślub, chrzest, dobrze uczące się dzieci, wakacje za granicą itp. czyli dobre życie, którym można się pochwalić. Kiedyś poskarżyła się, że nie mówi nic sąsiadom o mojej Córce, bo Córka jest nieochrzczona i nie miała komunii. Dla niej to była presja społeczna. Według niej, powodem mojego rozwodu był też brak ślubu kościelnego. Zmarła ponad rok temu. Oceniała mnie ostro, co zawsze budziło we mnie żal, oceniała, mimo, że starałam się jej poświęcić jak najwięcej czasu. Chyba mnie nie rozumiała. Nie akceptowała do końca mojego stylu życia.

Co z przekazu rodzinnego, który otrzymałaś, przekazujesz swojej córce?

Generalnie: od kobiet otrzymałam oceny i wątpliwości. Od mężczyzn otrzymywałam wsparcie we wszystkich akcjach, które miały na celu „robić swoje”. Jeszcze Ciotka Baśka była wyzwoloną kobietą i jeździła „maluchem”. Ubierała się modnie... Była nauczycielką... Potem przedsiębiorcą, podziwiałam jej wyzwolony styl. Chciałam „robić swoje”!!! Czyli to, co pomagało, to idea „robienia swojego”. Moja Mama zmarła w 2005 roku, kiedy urodziłam swoją Córkę. Dzieciństwo potomstwa to wychowawstwo i przekaz tego, co ma budować samodzielność dziecka. Na tym mi najbardziej zależy i dalej jest najważniejsze: pokazać uczucia i to, że można żyć według swoich przekonań i być dobrym człowiekiem. Wychowywanie dziecka to także „twórcze dzieło”. Patrząc na córkę, nie żałuję czasu przeznaczanego na jej wychowanie, mimo, że był to czas niełatwy i bez ciągłego malowania. Plonem jest to, że Córka jest w liceum plastycznym. Kocha historię sztuki. Wie, że może „robić swoje”.

Osobnej pracowni nigdy nie miałam, malowałam w domu, obok łóżka, albo w dużym pokoju, w nocy. W tym czasie zrezygnowałam z mojej ulubionej techniki farb witrażowych oraz olejnych z powodu uciążliwego zapachu terpentyny. Kiedy Córka była malutka, pracowałam sporadycznie, kiedy spała, a potem kiedy była w żłobku i w przedszkolu, prowadziłam własną działalność projektową i usługowo-malarską i to mnie pochłaniało. Często udzielałam się malując postaci z dziecięcych opowieści na ścianach w przedszkolu, co napawało Córkę dumą. Córka generalnie chwaliła się tym, że jestem artystką, malarką. Kiedyś, na zadanie „Moje największe marzenie”, narysowała siebie i mnie, jak razem malujemy malowidło na wielkiej ścianie budynku.

Czy dobrze Ci się układało uprawianie sztuki przed macierzyństwem? Czy byłaś już wtedy ustabilizowana jako artystka?

Na studiach, dzięki Warszawie, środowisku ASP oraz Pracowni Gościńskiej Leona Tarasewicza na Wydziale Malarstwa, mogłam dotknąć dobrej sztuki. Robiłam swoje, prowokowałam swój PROCES malarski, który miał przypominać świat biologiczny czy też obraz życia wewnętrznego. Podglądałam to, co niewidoczne, bezpośrednio czerpiąc z zapisów badań (z tzw. informacji obrazowej - USG; USG; rezonansu czy tomo-

grafu, RTG oraz z czasopism naukowych - moje ulubione: „Wiedza i życie” z lat 90tych). Ten czas, to kilka ważnych dla mnie wystaw. Po dyplomie w 2000 roku wróciłam do Krosna, za miłością; moja Mama wtedy poważnie chorowała, bałam się, żeby czegoś nie przegapić. Wątek badań mojej Mamy chorej na depresję, był obecny między innymi w moich pracach pokazywanych na wystawie zbiorowej „Depresja” w Galerii Arsenał w Białymstoku. Bycie samodzielną/samoczynną artystką, zweryfikował czas po studiach, spędzony w moim mieście. Byłam jeszcze na fali kreacji i idealizacji, ale problemy finansowe i problemy z pracą dla artysty, narodziny dziecka, weryfikowały pomysł, że ze sztuki da się żyć. Weszłam w dorosłe życie, w zarobkowanie na bazie zleceń malarskich i projektów grafik, wystroju wnętrz, konsultacji projektów z ekipami budowlanymi... Warsztat malarski i umiejętność projektowania różnych użytkowych form dalej jest podstawą mojej pracy, to mój zawód. Niestety dla mnie jako matki, to czas rzadkiej aktywności malarskiej, to bardziej terapia kolorami, zapis „na szybko”. Sztuka przeszła na pozycję podwieczorka... Malowanie po godzinach, a właściwie po nocach; to uspiiony wulkan wewnętrzny - obrazy, jak momenty erupcji, pojawiały i pojawiają się incydentalnie. Jednak potrzeba bycia twórcą jest nieukojoną... I wraca... Kiedy nie mogłam malować, z powodu choroby łokcia, kilka lat po studiach, mój profesor Leon Tarasewicz uspokoił mnie jednym zdaniem: „Baśka, najważniejsze, że malujesz w głowie! Przyjdzie czas na Ciebie”. Byłam rozgoryczona, najbardziej tym, że nie miałam jak malować, wiedziałam, że należało zająć się samodzielnianiem, zarabianiem, dzieckiem, a że zawsze miałam wysokie poczucie odpowiedzialności, to traktowałam moją rolę dorosłego i rodzica poważnie. Do dziś mam wrażenie, że ciągle za mało maluję poza głową. Mam takie przeświadczenie, że jak nie robi się czegoś swojego, to tym bardziej nie ma się prawa i nie można oceniać innych. Dzieło mówi o Tobie i ono wchodzi w dialog z innymi.

Jakim doświadczeniem było dla Ciebie macierzyństwo? Czy było ważniejsze niż sztuka, czy nie porównujesz obu tych sfer? Czy macierzyństwo miało wpływ na Twoją sztukę?

Nie porównuję. Oba doświadczenia są dla mnie równoważne, wyzwalają nowe doświadczenia, kreują nowe możliwości, wymagając poświęceń, przynoszą efekty, działają na ludzi. W moich pracach, temat mojego macierzyństwa bezpośrednio nie występuje. Jeszcze zanim zostałam matką, pośrednio, przejawiał się w ujęciach form biologicznych, w podjęciu tematu fenomenu życia, wątków wnętrza ciała ludzkiego, zapisów zapłodnień in vitro, czy realizacji malarskich preparatów na wieczkach od słoików, na wzór płynów ciała.

Czy macierzyństwo pomaga czy przeszkadza w byciu artystką?

Macierzyństwo zmienia. Uwrażliwia. Dla mnie to wartość. Świadome macierzyństwo jest jak zwierciadło, można się też w nim przejrzeć i uświadomić sobie siebie i to co się przekazuje dalej...